

Instytut Pamięci Narodowej

<https://ipn.gov.pl/pl/historia-z-ipn/220407,Uciec-przeznaczeniu.html>
26.02.2026, 22:53

Uciec przeznaczeniu

W rocznicę brawurowej ucieczki czterech więźniów z KL Auschwitz przypominamy rozmowę z Kazimierzem Piechowskim (numer obozowy 918), Kustoszem Pamięci Narodowej.

20.06



Kazimierz Piechowski przed bramą KL Auschwitz, 31 maja 2017. Fot. Maciej Foks

Do Auschwitz przywieziono Pana w wagonie bydłowym 20 czerwca 1940 roku. Jakie było Pana pierwsze wrażenie?

Szok. Zazgrzytały hamulce, zaczęło się piekło. Wyskakiwać. Raus, verfluchte Polen. Z obu stron stali esesmani, bili czym się dało. Pomagali im kapo. Nikt z nas nie rozumiał dlaczego, nie wiedział, o co chodzi i gdzie jest. Kiedy dostaliśmy pasiaki i numery, wszystko się wyjaśniło.

Pierwszym zadaniem do wykonania było zbudowanie obozu, w którym mieliście ginąć...

Początkowo na tym terenie, poza nazwą Auschwitz, nie było prawie niczego – dwa, trzy bloki po naszym wojsku. Budowaliśmy baraki, kilometry drutów kolczastych, ulice. Straszna harówka. Nadchodziły kolejne transporty więźniów, a my nie mogliśmy nadążyć budować coraz więcej i więcej baraków, bloków, a zatem zabijanie było rozwiązaniem tego problemu. Więzień znaczył mniej niż gruda ziemi.

Jak wyglądał obozowy poranek?

Od rana były przekleństwa i bicie, po to, by jak najprędzej uporać się z układaniem sienników pod ścianą. Potem chochelka kawy – tak to nazywali, ale diabeł wie, co to było – i to było wszystko. Jeśli więzień miał tyle silnej woli, żeby z kolacji zostawić część pajdki chleba na śniadanie, to miał

nadzieję wrócić po pracy do obozu żywy. A przecież kolacja była bardzo skromna - tylko 25, czasem 15 deka chleba, łyżka margaryny lub marmolady. Zdarzały się, choć nieczęsto, kradzieże chleba. Było to najbardziej podłe przestępstwo w obozie. Winny był zabijany przez współtowarzyszy. Kiedy informacja o tym się rozeszła, kradzieże chleba ustały. Potem pędzono nas na apel, a po nim padała komenda: *Arbeitskommando formieren!* - wymarsz do pracy!

Za kradzież zupy z kotła Niemcy ukarali Pana godziną słupka.

Kapo Johann Siegruth powiesił mnie za związane łańcuchem do tyłu ręce na haku wbitym w słup podpierający więźbę dachową. Staralem się choćby czubkiem palca u nogi dotknąć podłogi, by choć trochę ulżyć cierpieniu. Z początku czułem w przegubach płonącą pochodnię, potem miliony biegających i gryzących mrówek. Z nosa i brody kapał pot. Opadłem z sił. Po zdjęciu udało mi się jakoś wstać, ale ręce nie nadawały się do pracy. Szczęśliwie kapo w komandzie to zauważył i pozwolił przez trzy dni symulować pracę.

1 marca 1941 roku obóz odwiedził Heinrich Himmler. Czy był Pan świadkiem tego wydarzenia?

Tak. Kuchnia zaserwowała gulasz - prawdziwy! Przygotowano blok pokazowy liczący około pięciuset więźniów. Na bloku były sienniki, prześcieradła i kołdry. Wszyscy dostali nowe pasiaki i buty, byli ogoleni. Czerwony Krzyż ze Szwajcarii zapisał: jedzenie dobre, noclegi dobre, praca trudna, ale możliwa. I to poszło w świat. Himmler przeszedł tam i z powrotem przed nowo ubranymi. Poklepał Rudolfa Hössa i odszedł. Powiedziałbym, że była to komedia w dwóch aktach.

Czy poznał Pan ojca Maksymiliana Kolbe?

Tak, i długo będę to spotkanie pamiętał. W niedzielę Niemcy pozwalali na spacer na Birkenallee. Zmierzałem w kierunku Bloku Śmierci, z przeciwnej strony szedł ojciec Kolbe. Patrzył przed siebie w ziemię, jak zawsze zamyślony, przygarbiony, ręka w rękaw, okulary w drucianej oprawie. - Co tam u Ciebie? - zapytał. - Nie ma się czym chwalić. Wszystkim nie jest tu dobrze - odparłem. - Wiem, ciężką masz pracę? - Ciężką, bo nie mogę dostać pracy pod dachem, tylko ciągle pod gołym niebem, a to różnie bywa. - To niedobrze. Ale to może się zmienić. Wszystko jest możliwe. - Położył mi rękę na ramieniu i powiedział: - Nadzieja, tylko nadzieja. - Rozeszliśmy się. Kiedy dostałem pracę w magazynie, przypomniałem sobie tę rozmowę.

Był Pan obecny na apelu, na którym ojciec Kolbe zgłosił się na śmierć za Franciszka Gajowniczka.

Zastępca komendanta Karl Fritzsch lubił przyjmować nowe transporty. Mówił do więźniów: „Tu nie jest sanatorium, tylko obóz koncentracyjny. Tu trzeba pracować i tylko pracować, a jeżeli komuś taka głupota przyjdzie do głowy i zechce uciekać, to niech wie, że jeżeli ucieknie z komanda pracy, to dziesięciu za niego z komanda pracy pójdzie na śmierć. Jak ucieknie z bloku czy z baraku, to za niego z bloku lub z baraku dziesięciu pójdzie na śmierć. Taka jest prawda i tak będziemy postępować”. Zdarzyła się ucieczka więźnia z bloku 19, na którym był ojciec Kolbe i ja. Trzeba było wybrać dziesięciu. Do apelu stawaliśmy zawsze dziesiątkami, w dziesięciu rzędach. Łatwiej było policzyć. Na końcu leżały trupy - wszystko musiało się zgadzać. Fritzsch miał pejcz i buty z cholewami. Szedł przed pierwszym szeregiem i wskazywał. Esesmani wyciągali więźnia. Raus! - wyciągali następnego. Pięć kroków naprzód, drugi rząd, trzeci rząd... To był chyba czwarty rząd. Esesmani wyprowadzili więźnia, a on krzyknął na całe gardło: „Matko Boska, moje dzieci!” Rozpacz. Zobaczyłem, jak ojciec Kolbe, wyprostowany jak struna, szedł krok za krokiem, pomalutku w kierunku Fritzscha. Stanął przed nim. „Chcę iść na śmierć za tego więźnia” -

powiedział. Konsternacja. Wariat? Każdy zębami trzyma się życia, a ten je oddaje. Fritzscha popatrzył i po chwili powiedział: „Niech on idzie, a tego dajcie z powrotem”. Ojciec Kolbe zginął śmiercią głodową, dobity zastrzykiem fenolu w piwnicy Bloku Śmierci.

Czy był Pan świadkiem nieudanej ucieczki?

Tak. Schwytanego więźnia wyciągnięto z Bloku Śmierci, zawieszono mu na szelkach ogromny bęben, z tyłu tablicę z napisem *Hurra, hurra, ich bin schon wieder da!* (Hurra, hurra, znów tu jestem). Skazany walił w bęben, idąc obozowymi uliczkami, by zobaczyli go wszyscy więźniowie. Widzieliśmy w nim śmierć. Im bardziej zbliżał się do miejsca straceń, tym mniej intensywnie uderzał. Szedł coraz wolniej. Zdjęli z niego bęben. Esesman kopnął skrzyneczkę. Więzień zawisł. Niemcy zaaranżowali to jak na filmie.

Czy wśród obozowych kapo spotkał Pan osoby przychylne więźniom?

Tak. Otto Küsel, kapo nr 2. Nosił zielony winkiel, jak kryminalista, ale nie był mordercą, tylko kasiarzem i wykształconym człowiekiem. Uratował mi życie, kiedy wiedziałem, że staczam się dzień po dniu, nie mając już sił. Kiedy rano padło hasło do formowania komand pracy, zawołał, bym dołączył do wskazanego komanda. Dowiedziałem się od współwięźniów, że będziemy pracować w Hauptwirtschaftslager (HWL), magazynach, które zaopatrywały formacje SS od Wrocławia do Dniepropietrowska. Przed południem rozładowywaliśmy wagony, po południu ładowaliśmy ciężkie samochody. Harówka straszna, ale odkryło się przede mną niebo. Deszcz na mnie nie padał, nie brnąłem w śniegu lub błocie. Ta robota dawała nadzieję na przetrwanie.

Tam poznał Pan przyszłych towarzyszy ucieczki?

Tak. Pierwszy dostał się tam Gienek Bendera. Pracował w warsztatach jako mechanik samochodowy. Do pomocy dobrał zakonnika Józka Lemparta, przez co wyciągnął go z pracy pod gołym niebem. Do HWL dostał się również Staszek Jaster, który został windziarzem.

Jak wyglądał plan ucieczki?

W maju 1942 roku przyszedł do mnie Gienek i ze smutkiem powiedział, że nasi w Politische Abteilung, obozowym gestapo, powiedzieli mu, że jest na liście do gazu. Byłem w szoku. To był jedyny kolega, na którego liczyłem. Zapytał, czy sądzę, że można stąd uciec. Ciągłe mówił o swoim synu Ryśku, którego chciałby zobaczyć. Wiedziałem, że ucieczka z obozu centralnego była absolutnie niemożliwa i nie chciałem z nim o tym rozmawiać. Drążył mnie przez trzy dni. Wiedział, że znam niemiecki. W końcu się zgodziłem. Bendera powiedział, że może skombinować samochód. Dowiedziałem się, gdzie w magazynach jest składnica mundurów. Gienek dorobił klucz do garaży i miał przygotować samochód. Moim zadaniem było zostawić niezabezpieczony włącznik do kotłowni w dniu ucieczki, byśmy mieli dostęp do magazynu. Nie mogliśmy tylko przewidzieć tego, co stanie się na ostatnim szlabanie. Postanowiliśmy uciekać w sobotę, gdyż tylko wtedy esesmani w magazynach pracowali do godziny 12 i wyjeżdżali *mit seine Fräulein* – jakbyśmy to dziś powiedzieli - na weekend.

Ucieczka oznaczała represje wobec pozostałych w obozie więźniów. Co zamierzaliście zrobić, aby do nich nie doszło?

To był majstersztyk: mając w pamięci słowa Fritzscha, wpadliśmy na pomysł, że musimy stworzyć fałszywe komando pracy. Jeśli ucieknie – nie będzie kogo ukarać. Na terenie obozu wszelki transport odbywał się zaprzęgiem ludzkim. Było wiele tzw. *Rollwagenkommando*, a najmniejsze musiało być czteroosobowe. Gienek zwerbował Józka, ja zaś szukałem chętnego do naszej ucieczki

między znajomymi harcerzami, do których miałem zaufanie. Alek Kiprowski z Tczewa i Zbyszek Damasiewicz odmówili. Zgodził się dopiero Staszek Jaster.

Nadszedł 20 czerwca 1942 roku...

...Rano wyszliśmy zwyczajnie z naszym komandem do pracy. Korzystając z okazji usunąłem śrubę uniemożliwiającą otwarcie wjazdu w kotłowni. O dwunastej kapo wprowadził nas z powrotem do obozu, co zostało odnotowane w księdze przy bramie *Arbeit macht frei*. Na strychu niedokończonego bloku powtórzyliśmy plan ucieczki. We czterech podjechaliśmy rolwągą pod bramę *Arbeit macht frei*, ja z żółtą opaską *vorarbeiters* (brygadzysty).

Melduję: „Rollwagenkommando, Vorarbeiter 918 i trzech więźniów”. Mimo ogolonych głów ze strachu włosy stały nam dęba. Szczęśliwie frajer esesman nie sprawdził w księdze, czy nasze komando istnieje. Przepuścił nas. Doszliśmy do garażu. Gienek został, a my weszliśmy do magazynu i zaopatrzyliśmy się w mundury i broń. Założyłem mundur *Untersturmführera*, a nie sierżanta, jak podała Danuta Czech w *Kalendarzu wydarzeń w KL Auschwitz*. Na nasz znak Gienek podjechał pod magazyn. Zdjął więziarską czapkę i przepisowo się zameldował. Dostrzegł go strażnik z wieżyczki, ale nie zareagował - byłem już w mundurze SS. Gienek wszedł do budynku. Przebrał się. Koledzy w tym czasie załadowali broń do bagażnika auta. Za pierwszym zakrętem zasalutował nam esesman. - Widzisz Kazek, wszystko gra - uśmiechnął się Gienek. Jechaliśmy dalej. Nareszcie widzimy szlaban. Z lewej stolik, przy nim esesman, z prawej buda ze strażnikiem. Obaj uzbrojeni. Mamy do nich jakieś dwieście metrów. Szlaban na dole. Jeszcze się nie przejmujemy. Sto metrów. Szlaban na dole. Nie wiem, jak koledzy, ale ja się bardzo zdenerwowałem. Pięćdziesiąt metrów. Szlaban na dole. Dwadzieścia metrów. Szlaban ciągle na dole. Gienek redukuje na jedynekę, podjeżdża. Stanął. Esesmani nadal nie podnoszą szlabanu. Wtedy, muszę przyznać, popełniłem błąd. Na parę sekund uwierzyłem, że to koniec naszej eskapady. Umówiliśmy się, że w razie niepowodzenia na terenie obozu nie walczymy, ale likwidujemy samych siebie. Na chwilę poszybowałem myślami do mamy, na pożegnanie. W decydującym momencie nawaliłem! Ale jednak się udało. Poczułem mocne uderzenie w kark i za prawym uchem syczący głos siedzącego za mną zakonnika: - Kazek, zrób coś!. - Ocknąłem się. Otworzyłem drzwiczki samochodu i wypuściłem w kierunku strażnika wojskową wiązaną. Nie wystarczyło. Wskoczyłem z samochodu, energicznie oparłem dłoń na kaburze. Podskoczył do korby. Szlaban w górę. Na to tylko czekaliśmy. Salutują nam. Wyjeżdżamy...

Podawane są sprzeczne informacje, dotyczące właściciela oraz wyglądu samochodu. Czy to był wóz SS *Hauptsturmführera* Paula Kreuzmanna?

Kreuzmann miał swoje auto, ale nie tym uciekaliśmy. Nasz Steyr 220, kabriolet, był w dyspozycji szefostwa obozu. W trakcie ucieczki miał podniesiony dach. Jeszcze w czasie wojny zaczęła krążyć fama, że wysłaliśmy do Rudolfa Hössa list, w którym dziękujemy za użyczenie samochodu i przepraszamy go za kłopot. To były bajki. Niczego nie wysłaliśmy.

Wyjechaliście poza teren obozu, co dalej?

Niestety zabłądziliśmy. Znaleźliśmy się na terenie budowy podobozu w Monowicach. W oddali widać było pracujących więźniów. Zawracając, zauważyliśmy znajomego jeźdźcę. To był Fritzschi! Po ucieczce zapewniał Hössa, że nas widział, ale niczego się nie domyślił, bo byliśmy w mundurach. Mknęliśmy dalej. Nagle na środku drogi zobaczyliśmy stojącego w rozkroku esesmana, który dawał ręką znak do zatrzymania się. Gaz do dechy. W ostatniej chwili uskoczył. Pogroził pięścią za Steyrem. Po jakimś czasie skręciliśmy w boczną drogę. Jadąc strumykiem uszkodziliśmy wóz na kamieniach. Porzuciliśmy go. Dalej ruszyliśmy pieszo leśną drogą. Idąc

wzdłuż Czarnego Potoku napotkaliśmy chatkę. Weszliśmy. Nagle Staszek, który został na czatach, ostrzegł, że idą Niemcy. Szli gęsiego. Było ich pięciu. Zauważyli Staszka, ale przeszli obok z palcami na cynglach automatów. Dalej szliśmy nocą. O świcie weszliśmy w pole już wysokiego zboża. Wreszcie mogliśmy się przespać. O zmierzchu zauważyliśmy, że Józkowi z ust cieknie krew. Chciał, żebyśmy zostawili mu pistolet, był zbyt słaby, żeby iść dalej. Zabraliśmy go ze sobą. Doszliśmy do wsi, w której był kościół. Zaskoczonemu księdzu wyjaśniliśmy, że jesteśmy Polakami. Zgodził się przechować Józka pod warunkiem, że zabierzemy jego mundur i broń. Dostaliśmy jedzenie na drogę. Józek przeżył czas wojny. Następny postój mieliśmy u gospodarza w chacie pod lasem. Opowiedzieliśmy mu swoją historię. Dowiedzieliśmy się, że u wójta i na bramie kościoła Niemcy wywiesili listy gończe, w których oferują pół miliona złotych za wskazanie uciekinierów w mundurach niemieckich. Dostaliśmy cywilne ubrania. Wkrótce opuścił nas Staszek. Wyruszył do Warszawy. Żegnając się, wyszeptał mi do ucha, że wiezie raport Pileckiego. Ruszyliśmy z Gienkiem na wschód. Coraz mniej polskich chat, coraz więcej ukraińskich. Gienek stwierdził, że nie mogę uchodzić za Polaka, bo to tutaj niebezpieczne. Kiedy pytał o mnie gospodarz Ukrainiec, Gienek mówił, że jestem niemową. Nie czułem się jednak dobrze na tych terenach. Gienek miał znajomych młynarzy w powiecie Końskie. Poszliśmy tam. Córka młynarzy Słupczyńskich miała kontakt z partyzantką. Zdobyła dla Gienka kenkartę na nazwisko Stefan Pidruczny. Ponieważ do młyna często zaglądali Niemcy, zostałem przeniesiony do Nikodema Nowakowskiego ze wsi Mnin, który akurat potrzebował pracownika. Nie wiedział, kim jestem. Jego żona coś podejrzewała. Opowiedziałem jej swoją historię. Od tego momentu uchodziłem za krewnego. Córka gospodarzy, Krysia, skontaktowała mnie z miejscowym nauczycielem, członkiem AK. Nazywał się Piec. Otrzymałem kenkartę na nazwisko Władysław Sikora. Trafiłem do partyzantki, do „Garbatego”. Lubiłem go. Dowództwo za nim nie przepadało, gdyż czasem wykonywał akcje bez wiedzy przełożonych. Taki Bohun. Wytrzymałem u niego do końca wojny.

W ilu potyczkach brał Pan udział?

W niewielu. W jednej zostałem ranny. Pewne wydarzenie utkuło mi w głowie do dziś. W powiecie Końskie mieszkał leśniczy. Współpracował z Niemcami. Dostaliśmy rozkaz z góry. Późnym wieczorem zjawiliśmy się we dwóch u leśniczego i poprosiliśmy na zewnątrz, na rozmowę. Podprowadziliśmy biedaka pod ogrodzenie, odczytaliśmy wyrok... Wtedy wyszła jego żona z dwiema dziewczynkami. Płakały, trzymając się matczynej koszuli. Tydzień później otrzymaliśmy informację, że to nie ten. Właściwy zdrajca mieszkał trzy kilometry dalej. Stało się. Nie mogę tego wymazać z pamięci do dziś...

Waszą ucieczkę przypłacił życiem tylko kapo, Kurt Pachala.

To był wariat na punkcie pokazania swojego komanda jako dobrze wytresowanych ludzi, maszerujących do pracy i z powrotem ze śpiewem na ustach. Zmuszał nas do uczenia się niemieckich piosenek. Lubił bić pałką, kopać, w szczególności w przyrodzenie. Czuł, że ma władzę. Kiedy dowiedziałem się, że nie żyje, nie czułem żalu, choć paradoksalnie Pachala nie ponosił winy za naszą ucieczkę. Był kozłem ofiarnym. Poza nim siedmiu oficerów i podoficerów poszło na front wschodni. Uznano ich za winnych ucieczki więźniów, co było zgodne z poleceniem SS-Gruppenführera Richarda Glücks, inspektora obozów koncentracyjnych. Dowiedziałem się o tym od Alka Kiprowskiego po powrocie do Tczewa.

Stanisław Jaster zginął podczas okupacji.

Zabili go koledzy. Para akowców rozdała zamówione w drukarni zaproszenia o swoim ślubie,

zawiadamiając o terminie i miejscu. Dowiedziało się o tym warszawskie gestapo. Nim msza się skończyła, obsadzono cały kościół. Niemcy przewieźli wszystkich na Szucha, przesiali i okazało się, że wśród zatrzymanych było kilkudziesięciu akowców. Kto jest temu winien? Staszek Jaster - dostał zaproszenie, ale nie był na mszy. W książce *Cichy front*, w rozdziale "Zdrajca", napisano, że Staszek został skaptowany przez Politische Abteilung już w obozie. To oni mieli zorganizować naszą ucieczkę, by Staszek wkręcił się gdzie potrzeba i zdawał meldunki. Tymczasem wiadomo, że następnego dnia po ucieczce Niemcy wzięli z domu rodziców Staszka, zawieźli do obozu koncentracyjnego Auschwitz i zamordowali. Jak mam uwierzyć w to, że w nagrodę za rzekomą współpracę zabili mu rodziców? Mało tego: mimo zamordowania mu rodziców Staszek miał okazję wykazania się jako szpicel i zdradził akowców w kościele. Czy normalny człowiek może w coś takiego uwierzyć? Walczę od dwudziestu lat. Mam polskie i niemieckie dokumenty niezbicie świadczące o niewinności Staszka. Dostarczyłem je historykowi z Uniwersytetu Warszawskiego, który pisał, że Pilecki wysłał do Londynu raport przez Staszka Jastera. Twierdził, że do końca nie wiadomo, czy był konfidentem. Zapytałem, czy może wskazać w archiwum Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej jeden dokument potwierdzający, że Staszek zginął, bo był zdrajcą. Odparł, że nic takiego nie ma. We własnych archiwach również nic takiego nie miał. Powiedziałem, że jest tchórzem, żeby przyznać, że Staszek jest niewinny. Często w nocy śni mi się kolega, wzorowy patriota, prawa ręka Pileckiego i woła: „Kazik, to przecież nieprawda!”. Jaster bezsprzecznie był bohaterem!

Co stało się z bliskimi pozostałych uciekinierów?

Żona Gienka, bez jego wiedzy, wyszła za mąż za Niemca. Chroniło to ją od represji, ale Gienek nie zobaczył już syna. Natomiast Józek przesłał do domu gryps, po którym jego matka ukryła się. Niestety schwytano ją i trafiła do Auschwitz, gdzie zginęła. Moich rodziców już w grudniu 1939 r. Niemcy wywieźli do dużego gospodarstwa rolnego, gdzie mama pracowała przy krowach, a tato był pomocnikiem kowala. Do końca wojny mieszkali w boksie dla krów.

Jednym z Pańskich zadań jako więźnia było wywożenie ciał zastrzelonych spod Ściany Śmierci. Po wojnie znów stanął Pan w tym miejscu...

Umysł byłego więźnia na chwilę, czasem trochę dłużej, wraca do obozu. Medycy nazwali to syndromem Auschwitz. Podam przykład. Józef Lempart zginął po wojnie przechodząc przez przejście dla pieszych na czerwonym świetle. Najpewniej myślami był wówczas w obozie. W mojej rodzinie pobyt w obozie był tematem tabu, nie wolno go było poruszać. Inaczej całe to piekło wracało. Mnie ten syndrom dopadał najczęściej w domu, nocą. Żona wówczas budziła mnie i uspakajała. Śniło mi się, że jestem w Auschwitz. Esesmani strzelają, gonią mnie psy. W śnie próbowałem je kopnąć, ale w rzeczywistości uderzyłem w żeliwny grzejnik. Złamałem stopę. Kiedy wydobrałem, żona poprosiła, bym pokazał jej ten obóz. Po odmowach w końcu się zgodziłem. Gdy przechodziliśmy przez bramę *Arbeit mach frei*, coś mnie szarpnęło. To jeszcze nic strasznego, pomyślałem. Blok 2, tu zacząłem staż w Auschwitz. Dalej w prawo, Blok Śmierci. Weszliśmy na dziedziniec. Zobaczyłem Ścianę Śmierci... W obozie przez sześć tygodni byłem w *Leichenkommando*. Spod tej ściany zwoziliśmy trupy do krematorium nr I. Przez moment niczego nie słyszałem, a prócz góry pokrwawionych trupów niczego nie widziałem. Wywaliłem się. Przybiegło dwóch panów. Zawieźli mnie do biura i zawołali lekarza. Podano zastrzyki. Po półgodzinie wydobyto mnie z tego. To syndrom Auschwitz...

W trakcie uroczystości poświęconej Janowi Karskiemu prezydent USA Barack Obama użył sformułowania „polski obóz śmierci”. Czy uważa Pan, że wyjaśnienia udzielone przez jego administrację były wystarczające?

Myszę, że nie. Gdyby był to sporadyczny przypadek, to może byśmy to lżej przeszli, ale przecież to, co się dzieje w kwestii „polskich obozów koncentracyjnych”, „polskich krematoriów”, „polskich komór gazowych”, jest nagminne. Nie tylko w Ameryce, również w Anglii i Niemczech. Czytałem jeden z artykułów londyńskiego „Timesa”. Pan Obama jest takim odpryskiem tego zjawiska, z tym, że to prezydent. Ale nie wierzę absolutnie, że to była pomyłka.

Płyta zespołu Lao Che poświęcona Powstaniu Warszawskiemu cieszyła się popularnością. Pańska ucieczka była inspiracją dla brytyjskiej piosenkarki polskiego pochodzenia. Wystąpił Pan w jej teledysku, co Pan o nim myśli?

Teledysk Katy Carr może być jedynie inspiracją, zasygnalizować temat. Wymaga koniecznie poszerzenia o moją relację, zawartą w filmie dokumentalnym. Duży oddźwięk u młodzieży zyskał film Uciekinier w reż. Marka T. Pawłowskiego, o czym świadczą wpisy internautów. „Kiedy będziecie głodni, kiedy będzie Wam zimno i niewygodnie, kiedy będziecie zmęczeni, to pomyślcie sobie, że tak naprawdę nikt z Nas nie doznał prawdziwego głodu, zimna, niewygody i wreszcie strachu! Wtedy pomyślcie o historii tego człowieka!” - napisał jeden z nich. Takich ocen są setki. Jak widać, młodzież żywo reaguje na pojęcie patriotyzmu.

„Pamięć.pl” trafia do nauczycieli historii. Co mógłby Pan im doradzić w kwestii przekazywania wiedzy o niemieckich obozach?

Najlepszym doradcą dla nauczycieli historii w tej kwestii są książki wspomnieniowe byłych więźniów obozów, również mego autorstwa, co jest przez niektórych nauczycieli wykorzystywane. Głęboką inspiracją jest Witold Pilecki - więzień Auschwitz, harcerz, bohater narodowy. Zachęcam nauczycieli do poszerzania wiedzy młodych ludzi na ten temat.

Rozmawiał Maciej Foks

Wywiad pochodzi z numeru 6/2012 miesięcznika „Pamięć.pl”.

[Poprzedni Strona](#)

[Następny Strona](#)

Powiązane wiadomości



Więzień, uciekinier, egzekutor



Jestem dzieckiem szczęścia



Niektórzy kapo tłumili powstanie warszawskie



MONOGRAFIE

Daria Czarnecka

SPRAWA STANISŁAWA GUSTAWA JASTERA PS. „HEL” W HISTORIOGRAFII

KREACJA OBRAZU ZDRAJCY I OBRONA

Sprawa Stanisława Gustawa Jastera ps. „Hel” w historiografii. Kreacja obrazu zdrajcy i obrona
Rozmowa